

KAPUCYNI i MISJE



Biuletyn Misji Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej ISSN 1642-8897, rok 2018, nr 2



„Zaprawdę, powiadam wam:

Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego.

Kto się więc uniży jak to dziecko, ten jest największy w królestwie niebieskim.

I kto by przyjął jedno takie dziecko w imię moje, Mnie przyjmuje” (Mt. 18, 3-5).



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

Co pewien czas mam kontakt z Wami dzięki listom i naszemu biuletynowi misyjnemu. Z wieloma z Was miałem okazję spotkać się tego lata, choćby na krótko, podczas niedziel misyjnych organizowanych w parafiach kapucyńskich. Szczególnym wydarzeniem dla naszej Prowincji było posłanie do pracy misyjnej br. Macieja Jabłońskiego. W niedzielę 3 czerwca uroczysta Eucharystia zgromadziła w parafii św. Antoniego w Wałczu wielu braci kapucynów, w tym wszystkich (pięciu) misjonarzy przebywających na urlopie w Polsce, krewnych, przyjaciół przyszłego misjonarza i parafian. Br. Tomasz Żak, Minister Prowincjalny, wręczył krzyż misyjny przyszłemu misjonarzowi. Tym samym brat Maciej w imieniu naszego Zakonu został posłany, aby głosić Dobrą Nowinę w Afryce, w Republice Środkowoafrykańskiej.

Proboszcz, br. Waldemar Korba, wręczył bratu Maciejowi stułę – znak kapłańskiej posługi – oraz zapewnił, że rodzinna parafia zawsze będzie otaczała modlitewną troską nowego misjonarza. Br. Maciej wyleciał do Afryki 20 lipca i na początek zatrzymał się kilka tygodni na misji w Bocaranga. Relację br. Macieja z pierwszych dni w Afryce możecie znaleźć wewnątrz biuletynu. Od 4 września zadawajcie się na misji w Ngaoundaye, w RSA.



Po wakacjach w Kustodii RSA – Czad rozpoczął się kolejny rok formacji zakonnej. Po tygodniowych rekolekcjach w Bouar pierwszego września dziewięciu postulantów otrzymało habity i tym samym rozpoczęło roczny nowicjat, sześciu z nich pochodzi z Demokratycznej Republiki Konga a trzech z naszej Kustodii. Następnego dnia, drugiego września, odbyła się uroczystość ślubów wieczystych dwóch braci Afrykańczyków pochodzących z RSA: Rodriguea i Baudoina. Dołączyli oni do grupy dwudziestu dwóch braci wieczystych w Kustodii pochodzących z Afryki.

Szybkim krokiem zbliża się jesień i miesiąc listopad, który jest szczególnym czasem modlitwy różańcowej za zmarłych. Jak co roku zachęcamy Was do przysyłania kartek wypominkowych z imionami zmarłych, za których będziemy się modlić w Polsce i w Afryce. Coraz więcej kartek wypominkowych otrzymujemy drogą elektroniczną co usprawnia nam przysyłanie ich do Afryki. Aby jeszcze ułatwić nam pracę mamy wielką prośbę do tych, którzy skanują kartkę wypominkową, aby pisali imiona zmarłych bezpośrednio w mailu. W tym numerze biuletynu możecie przeczytać ile i na jaki cel zostały przekazane pieniądze z wypominków z ubiegłego roku.



Rok pracy i działalności Sekretariatu i Fundacji jest bardziej wyznaczany czasem urlopów misjonarzy niż kartkami z kalendarza. Teraz, kiedy powrócił do Afryki z urlopu ostatni misjonarz i zostały wysłane paczki kontenerem, rozpoczyna się kolejny rok aktywności misyjnej. Mam nadzieję, że wysłane 12 września drogą morską paczki ze sprzętem liturgicznym, różnego rodzaju wyposażeniem kaplic i budynków misji, narzędziami i urządzeniami elektrycznymi i mechanicznymi oraz paczkami świątecznymi dotrą do misjonarzy przed Bożym Narodzeniem.

Drodzy Przyjaciele Misji

W imieniu własnym, misjonarzy, pracowników Fundacji Kapucyni i Misje, wolontariuszy oraz beneficjentów z Afryki pragnę Wam podziękować za Wasz wkład w dzieło misyjne Kościoła i naszego Zakonu. Korzystając z okazji, już teraz składamy Wam najserdeczniejsze życzenia bożonarodzeniowe. Nowonarodzony Pan niech udziela Wam łaski dobrego życia. Życzymy Wam jedności, zgody i pokoju w rodzinach i w miejscach pracy. Adorując Dziecię Boże w żłóbku pochylmy się po raz kolejny nad tajemnicą wcielenia, gdzie Miłość przychodzi do swoich, oświeca mroki życia, usuwa lęki i daje moc.

Z pamięcią w modlitwie

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny



br. Artur Ziarek OFMCap

Materialne owoce wypominków misyjnych

Wspólnota postulatów Braci Kapucynów w Gore już od dwóch lat włącza się w modlitwę różańcem wypominkowym. Również i w tym roku będziemy im przysyłać kartki wypominkowe, aby młodzi kandydaci do życia zakonnego oprócz modlitwy brewiarzowej i myślniej praktykowali również modlitwę wstawienniczą za zmarłych. W ubiegłym roku z ofiar złożonych przez Was przy okazji wypominków przekazaliśmy 5000 euro na projekt remontowo-budowlany w postulatce w Gore. Za te pieniądze zostały wykonane następujące prace:

- stolarskie: wymiana moskitier w oknach i w drzwiach, konserwacja i naprawa mebli (szafy, krzesła, stoły)

- murarskie: dokończenie muru ogrodzeniowego, przedłużenie i doświetlenie sali wykładowej dla postulantów, przedłużenie garażu, budowa obory dla kóz i owiec.

Niedawno otrzymaliśmy rozliczenie z wykonanych prac i list od przełożonego wspólnoty postulatów br. Artura Ziarka. Zamieszczamy go poniżej, aby to podziękowanie dotarło również do Was.

br. Jerzy Steliga



Nowa sala wykładowa dla postulantów

Pragnę serdecznie podziękować za udzieloną nam pomoc 5000 euro. Wszystkie zamierzone przedsięwzięcia udało się zrealizować. Komplet faktur przesyłam w załącznikach.

Realizacja podjętych projektów pomogła nam, jako ekipie wychowawców, zapoznać młodych braci z różnymi pracami, m.in. stolarką, murarką, malowaniem pomieszczeń, instalacjami elektrycznymi. Dzięki temu mogliśmy także doświadczyć ich kreatywności, dyspozycyjności i twórczości, a także zaangażowania i wytrwałości, co przełożyło się na konkretne efekty formacyjne.

Wszystkie wydatki są uwierzytelnione przez faktury. Są one poukładane według poszczególnych projektów. Pamiętamy w modlitwie o wszystkich ofiarodawcach i dobrodziejach misji i ich współpracownikach.

Pokój i Dobro

br. Artur Ziarek



Nowy mur ogrodzeniowy



Nowa brama wjazdowa



Br. Artur Ziarek



Most, który łączy

pisze br. Piotr Michalik OFM Cap

W swej naturze most ma to do siebie, że łączy. Konkretnie – łączy dwa brzegi rzeki, żeby można było swobodnie przemieszczać się w obie strony. Odgrywa wtedy funkcję komunikacyjną, ekonomiczną, strategiczną itp. Jednak przy tym spełnia rolę jeszcze ważniejszą – może łączyć ludzi. Mówi się o spotkaniu na środku mostu ludzi różnych kultur, często zantagonizowanych, których dotychczas wszystko dzieliło i zwracało jednych przeciwko drugim. Mówiąc krótko: most zbliża ludzi. Czegoś takiego doświadczyliśmy na naszej misji w Ngaoundaye.

Gdy prawie dwa lata temu przyjechałem do Ngaoundaye, mojej nowej placówki misyjnej, szybko się zorientowałem, że nie do wszystkich wspólnot chrześcijańskich naszej parafii da się dojechać samochodem. Powód był bardzo prosty: nie było mostów. Po przejechaniu samochodem około 50 kilometrów w pewnym momencie dojeżdża się do rzeczki i zatrzymuje się na wysokiej skarpie, a dalej jest już tylko 2-3-metrowe urwisko i dolina w porze deszczowej wypełniająca się wodą. 2-3 kilometry dalej historia się powtarza: inna rzeczka również rozlewa się w poprzek drogi.



Ludzie z okolicznych wiosek zbudowali drewniane kładki, które każdego roku po porze deszczowej trzeba naprawiać lub na nowo, od zera, odbudowywać. W ten sposób przynajmniej jednoślady i piesi mogą w miarę bezpiecznie przepłynąć się na drugą stronę. By dojechać do ostatnich trzech kaplic, trzeba się przesiać na motor lub rower i jechać kolejne 20 kilometrów. Po drodze mija się kilkanaście naprawdę dużych wiosek. Są to wioski niedostępne dla pojazdów dwuśladowych. Fakt, można dojechać tam samochodem, wybierając drogę okrężną, która jest dwa i pół raza dłuższa, jednak droga



ta jest, nawet jak na tutejsze kryteria, w katastrofalnym stanie i od dłuższego czasu nikt już nie zapuszcza się tam samochodem. Z powodu otwartych budów (most, przepusty wodne i kaplice) musiałem kilka razy tamtędy jechać i sam doświadczyłem, że nigdy nie wiadomo, kiedy ta droga pozwoli dojechać do celu. W porze suchej samochód (terenówka!) zawiesił się na koleinach. Na szczęście byli wtedy ze mną murarze, wiozłem sprzęt na budowy, więc wspólnymi siłami udało się ruszyć samochód z miejsca. Na początku pory deszczowej, jeśli popada deszcz, samochód nie przejedzie przez błota, które momentalnie się tworzą. Dlaczego niniejszy list piszę z Bocaranga? Bo musimy tu przeczekać aż deszcz przestanie padać i ziemia trochę obeschnie. Spóźnimy się co najmniej o dobę. Nie wspomnę już o tym, że wielokrotnie na tej drodze ryzykuje się przewrócenie samochodu, ponieważ ma ona bardzo niebezpieczny przechył boczny. Natomiast w pełni pory deszczowej droga jest po prostu nieprzejezdna....



Rozmawiając z ludźmi z naszych wiosek, stwierdziłem, że taka sytuacja bardzo negatywnie wpływa na ich życie: kiedy mieszkańcy są odcięci od świata, czas dla nich jakby zatrzymuje się w miejscu. Nie ma handlu z prawdziwego zdarzenia, no bo ileż towaru może unieść kobieta na swojej głowie albo mężczyzna przewieźć na rowerze lub motorze? Jak sprzedawać plony z pól? Gdzie kupić za przystępną cenę towary pierwszej potrzeby? Funkcjonariusze państwowi (dyrektor szkoły, odpowiedzialny za wiejską przychodnię zdrowia itp.) nie chcą pracować w tej odciętej od reszty kraju enklawie. W efekcie szkoły i przychodnie zdrowia praktycznie nie funkcjonują. Organizacje pozarządowe całkowicie ignorują ten region. Siły bezpieczeństwa (wojsko, żandarmia itp.) nie były tu widziane od lat. Na dodatek obecność na tym terenie jednej z rebelii (tzw. 3R generała Sidiki) jeszcze bardziej komplikuje sytuację. Tutejsi mieszkańcy czują się pozostawieni przez rząd na pastwę losu. W ich sercach rodzi się fatalizm: nic się nie da zrobić...

Do tego, zwłaszcza w ostatnich czasach, relacje międzyludzkie pozostawiały wiele do życzenia. Dwa dominujące w tym regionie plemiona (Gbaya i Pana) ignorują się wzajemnie, nie znając języka sąsiadów. Natomiast relacje między rolnikami (Gbaya i Pana) i hodowcami zwierząt (Mbororo) były wręcz złe. Z jednej strony zdarzały się kradzieże krów, z drugiej – niszczenie pól przez potężne stada. Doprowadziło to do powstania wielu uprzedzeń i ran w sercach ludzi. Obecność rebeliantów jeszcze dołowała oliwy do ognia. Wszelkie mosty łączące ludzi zostały zerwane.



Kiedy rozmyślałem o sytuacji ludzi z tego regionu, szybko pojawiła się idea: a gdyby tak pomóc ludziom zbudować przeprawy, które będą trwałe? Które będą im służyły przez kilkadziesiąt lat, a na dodatek mogłyby nimi przejechać także dwuślady? Konsultacje z szefami wiosek oraz rozmowy z mieszkańcami potwierdziły, że byłoby to dla nich coś wspaniałego. Początkowo

jednak podchodzili do tego projektu z niedowierzaniem: jak świat światem, nikt nigdy (od czasów obecności niemieckiej, czyli przed I wojną światową) nie pomagał im w utrzymaniu przejezdności tej drogi. Zawsze byli skazani na siebie samych. Mimo to zadeklarowali, że wezmą udział w tym przedsięwzięciu.



Pomysł chwycił. I Bogu dziękować – wielu ludzi zaangażowało się w tę pracę. Fundacja Kapucyni i Misje znalazła środki, żeby ją sfinansować. Pan inżynier Wojtek, sekundowany przez mego brata Krzysia (też inżyniera), przygotował projekt mostu i udzielił mi przyspieszonego, korespondencyjnego kursu budowlanego. Mieszkańcy regionu „w czynie społecznym” wykonywali liczne i uciążliwe prace. Moi współbracia (Pio, Robert, drugi Robert...), siostra Gosia i inne życzliwe dusze wspierały mnie, jak mogły, by projekt został sfinalizowany.

Prace rozpoczęły się w styczniu i tak naprawdę zakończone zostaną dopiero za kilka dni. Nawierzchnia drogi jest już naprawiona; dotychczas przejeżdżały nią tylko jednoślady, teraz mają ją jeździć samochody. Nawet samo to było godne podziwu: ponad 20 kilometrów drogi w naprawdę katastrofalnym stanie mieszkańcy zdołali naprawić, mając do dyspozycji tylko łopaty, kilof i motykę! Następnie wykonaliśmy trzy przepusty wodne. Na koniec pozostał most, wisienka na torcie, w miejscowości Wantounou (czyta się „Łantunu”). Podaję nazwę miejscowości, bo ludność tej małej osady liczy tylko 152 osoby, a spisała się na medal. Przez całe pięć miesięcy byli na pierwszym froncie robót. I nic ich nie zniechęciło

– nawet tragiczna śmierć Vincenta, szesnastolatka zabitego w napadzie rabunkowym przez młodych pasterzy krów. Akurat tego feralnego dnia przyjechałem tam, by wznowić prace. Po poranku spędzonym przy ciele zabitego i po pogrzebie, wróciliśmy po południu, żeby zająć się mostem. Po kilku dniach również najbliższa rodzina chłopaka na nowo pojawiła się na placu budowy.



Obserwując postępy prac, byłem pełen radosnego zdumienia, jak ten most, który jeszcze nie powstał, już zaczął łączyć ludzi. Społeczność wszystkich okolicznych wiosek – i tych zamieszkanych przez Gbaya, i tych zamieszkanych przez Pana – zaangażowała się w wykonanie różnych prac (naprawa drogi, przepusty wodne, most). Jedni dali więcej swego czasu i energii, inni mniej, ale u wszystkich było widać zapał – byli świadomi, że most to ich szansa na lepsze jutro. Być może jedyna, druga może już się nie pojawić.

Często można było zobaczyć ludzi z okolicznych wiosek, jak przystają na chwilę w podróży, by zobaczyć stan robót przy moście. Również okoliczni Mbororo odwie-

dzali regularnie pracujących, jednak nie tylko by popatrzeć i powiedzieć „courage” (odwagi). Oni też autentycznie cieszyli się z realizacji tego mostu i na swój sposób starali się pomóc. Na przykład stary aladji Amadou przynosił nam mleko od swoich krów. Jego brat pewnego dnia wprowadził owce ze swego stada. A jeszcze innego dnia cała rodzina Mbororo (dziadek, ojciec, młodzieńcy i dzieci) pomagała nam w transporcie kamieni.

Niekiedy stawałem na uboczu i obserwowałem. Ci, którzy jeszcze nie tak dawno patrzyli na siebie wilkiem, teraz pracowali ramię w ramię, rozmawiali, śmiali się, mieli dla siebie dobre słowo, a kobiety razem pichciły coś do jedzenia dla robotników. Czułem wtedy radość, że jest jeszcze ten dodatkowy, dotykający głębi ludzkich serc, efekt budowy mostu... Nawet rebelianci dostrzegli się do ogólnej atmosfery towarzyszącej tej pracy. Nie tylko nie przeszkadzali, ale na swój sposób starali się wspierać to dzieło (przynajmniej niektórzy), np. dali trochę pieniędzy na kupno żywności.

Trzeba przyznać – nie zawsze było różowo. Trudności nie brakowało. Najważniejsze jest jednak to, że potrafiliśmy je wszystkie pokonać. Naprawdę – jest za co Bogu dziękować.

br. Piotrek

Ps. Do zbudowania pozostał jeszcze jeden most, ale z tym poczekamy spokojnie na następną porę suchą.



Marzysz o misjach? Ale walizki same się nie spakują

pisze Małgorzata Kiedrowska, świecka misjonarka
z Republiki Środkowoafrykańskiej, od 7 lat pracująca na misjach



Mam takie głębokie przeświadczenie, że życie każdego chrześcijanina, a szczególnie każdego misjonarza, jest kolejnym rozdziałem Dziejów Apostolskich. Przeświadczenie to sprawia, że każda chwila mojego misyjnego życia jest dla mnie jakimś misterium. Mam nadzieję, że dam się prowadzić Duchowi Świętemu, tak by nie trzeba było drukować erraty do rozdziału o mnie.

Od dziecka miałam cztery marzenia. Największym z nich, ale też w mojej ocenie najbardziej nierealnym, był wyjazd na misje do Afryki. W moich czasach szkolnych dziewczynki prowadziły taki rodzaj pamiętnika, który nazywano „złotymi myślami”. Na górze każdej strony wpisywało się pytanie, a koleżanki udzielały odpowiedzi. Wśród tych pytań była również prośba o opisanie swojego marzenia. I pamiętam, że niejednej przyjaciółce zwierzyłam się, iż chciałabym wyjechać do Afryki. Wiedziałam, że nie będzie to łatwe. Mocno utkwilo mi też w pamięci coś, co przeczytałam w jednej z książek: że Matka Teresa z Kalkuty, wyjeżdżając na misję, nie miała pewności, czy kiedykolwiek jeszcze odwiedzi swoją ojczyznę i zobaczy swoich bliskich. Ale nawet to nie przeraziło mojego dziecięcego serca i nie ugasiło pragnienia. Czas płynął, życie toczyło się swoim rytmem, a serce ciągle było niespokojne.

Miałam okazję pomagać w rekolekcjach dla dzieci ze Szkoły Podstawowej im. dr Wandy Błęskiej. Pani Doktor odwiedziła wówczas uczniów i opowiadała o tym, jak odkrywała swoje powołanie misyjne, jak trafiła do Afryki i czym się tam zajmowała. Z nutą nostalgii pomyślałam głośno, że i ja przecież chciałabym tam pracować. Pani Doktor, wtedy już bardzo leciwa, odpowiedziała mi tylko, że walizki same się nie spakują.

Kolejny impuls pojawił się kilka lat później. Gdy pracowałam w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii, wraz z drugą wychowawczynią zaprosiłyśmy do naszej grupy misjonarkę z Republiki Środkowoafrykańskiej, siostrę Marysię, aby opowiedziała dziewczętom, jak żyją ich rówieśniczki na Czarnym Lądzie. Cały wieczór słuchałam, pytałam; siedząc obok siostry Marysi, czułam się tak,

jakbym jedną nogą i całym sercem była już w Afryce. Siostra Marysia zaproponowała mi, bym przyleciała na wakacje, potowarzyszyła jej na misji oraz w pracy w szpitalu. Wydawało mi się, że to sen. Musiałam wiele razy pytać Jezusa, czy On sobie ze mnie przypadkiem nie żartuje, spełniając moje pragnienie po 20 latach. A kiedy w trakcie przygotowań, szczepień i załatwiania dokumentów okazało się, że nie będą to tylko wakacje, ale dwuletni kontrakt poprzedzony nauką języka we Francji, czułam się jakby Ktoś podarował mi niebo.



Tak więc w październiku 2011 roku wylądowałam w Bangui, stolicy RŚA. Moja Afryka pierwszych dni była cudownie pachnąca. Pachniało wszystko: ziemia, rośliny, targ, pachniał nawet deszcz. Była też kolorowa, tak że gdybym wtedy czuła się wystarczająco pewnie, to nie wypuszczałabym obiektywu z rąk. I była pełna serdecznych pozdrowień i powitań.

Mówią, że z pierwszą misją jest tak, jak z pierwszą miłością – zostaje w sercu na zawsze. Tak rzeczywiście jest! To w Bagandou, na południu RŚA, nauczyłam się myśleć, że Pan Bóg posłał mnie do Afryki na spotkanie tego konkretnego człowieka, który właśnie stoi przede mną i czegoś potrzebuje, czasem nawet nie prosząc. W Bagandou, w środku buszu, wśród Pigmejów, stawiałam swoje pierwsze misyjne kroki. Języka uczyły mnie

miejscowe dzieci. Pracowałam w aptece, przy szpitalu im. o. Jana Beyzyma. Skrupulatnie powtarzałam każdemu pacjentowi zdania zapisane na kartce, dyskretnie przyklejonej do biurka niczym ściągą na klasówce. Bardzo szybko okazało się, że sango i francuski na niewiele się zdają, a najłatwiej porozumieć się zrozumiałym pod każdą szerokością geograficzną językiem miłości. Pomagałam też prowadzić spotkania z dziecięcą grupą Aita Kwe, a ponadto realizowałam się artystycznie, tworząc z niczego dekoracje w kościele.

Świat to tak naprawdę ludzie. Każdy jest niepowtarzalny. Nie ma przecież drugiego takiego Pigmeja imieniem Helikopter, przychodzącego do apteki, żeby pożalić się, że boli go brzuch. Nie ma drugiej takiej Oliviane, która oglądając przed kościołem „Pasję” Mela Gibsona będzie zastanawiała sobie oczy moją dłonią podczas sceny biczowania. Gdy po śmierci Jezusa na ekranie na chwilę zapadła ciemność, Oliviane zapytała: „Czy to już koniec?”. A kiedy odpowiedziałam, że jest jeszcze zmartwychwstanie, to odetchnęła z ulgą: „Ufff, to całe szczęście”. Czy to nie były najbardziej treściwe rekolekcje, jakie można przeżyć?

Z Bagandou zostałam posłana do Bertoua w sąsiednim Kamerunie. Pracowałam w szkole dla dzieci głuchoniemych. Ze względu na moje wykształcenie (jestem pedagogiem) zajmowałam się diagnozowaniem uczniów i formacją nauczycieli. Po jednej z lekcji religii, na której w języku migowym opowiadałam dzieciom o Maryi i pokazałam im obraz Maryi Matki Dobrego Pasterza, podeszła do mnie Aisatou, dziewięcioletnia muzułmanka, mówiąc: „Wiesz, ta wasza Maryja jest fajna. Pozwala swojemu Synowi bawić się z owieczkami”. Czy nie jest to żywy przykład dialogu międzyreligijnego?



Kiedy byłam w Kamerunie, w RŚA wybuchła rebelia. Było niebezpiecznie, ale wiedziałam, że i tak chcę wrócić do tego kraju. Pojechałam do Bimbo, misji na przedmieściach stolicy Bangui. Byłam tam odpowiedzialna za świetlicę środowiskową dla sierot, która działa przy parafii św. Antoniego z Padwy. Gdy świętowaliśmy z dzieć-



mi „mikołajki”, był pochmurny, deszczowy dzień. Nagle usłyszeliśmy strzały, a przez kościelne podwórko, tuż obok naszej salki, zaczęli przebiegać w popłochu ludzie z bagażami. Okazało się, że w stolicy doszło do walk. Ludzie rzucili się do ucieczki, zabierając ze swoich domów, co tylko dali radę. Otworzyliśmy salki katechetyczne, by mogli się w nich schronić. Trudno zapomnieć widok dzieci, które wyciągały ręce po mikołajkowe cukierki, a gdy rozlegał się kolejny huk, chowały je za siebie, cofając się kilka kroków i rozglądając za drogą ucieczki.

Przez wiele miesięcy na misji istniał obóz dla uchodźców, a ja pomagałam w jego organizacji i kontakcie z organizacjami pomocy humanitarnej. Ludzi szukających schronienia było tak wielu, że niektórzy musieli spać w kościele. Każdego poranka przed Mszą świętą szłam budzić uchodźców, którzy znaleźli tam schronienie, a w czasie świąt Bożego Narodzenia znalazłam trójkę małych dzieci, śpiących w szopce betlejemskiej tuż obok figurki nowonarodzonego Jezusa.

Z Bimbo moja misyjna droga zaprowadziła mnie do Maigaro na północnym zachodzie kraju. Tam zarządzałam szkołą podstawową. Zawsze starałam się poznać ludzi, z którymi pracowałam. Pewnego dnia przywitałam po imieniu dwie nauczycielki. Nie zdążyłam odejść zbyt daleko, kiedy usłyszałam, jak jedna mówi do drugiej: „Ona zna nasze imiona!” Mówiła to z taką dumą

i radością, że i moje serce przepełniła radość, że coś tak mało znaczącego może być dowodem miłości i szacunku do drugiego człowieka. W Maigaro poznałam Virginie, która przyszła ze swoją mamą, żeby zapisać się do szkoły. Mama wytłumaczyła jej, że ja jestem dyrektorem. Dziewczynka podbiegła do mnie, przytuliła się mocno i spytała: „A będziesz moim przyjacielem?”.

Radość z szukania i odnajdywania nowych miejsc, ludzi, Bożych spraw jest od kołyski wpisana w historię mojego życia. Z misyjną drogą jest tak samo. I tak z Maigaro zawędrowałam bardziej na północ, na misję Ngaoundaye, do szkoły w Mann. Wielką radością było dla mnie to, że mogłam zaangażować się w pracę katechetyczną w najdalszych wioskach naszej parafii i doświadczać cudów codzienności z ich mieszkańcami. Bo czyż nie jest cudem to, że w warunkach brudu i braku higieny, gdy po ludzku jest już za późno na leczenie, a ratunkiem jest tylko amputacja, przy użyciu mojej małej apteczki Paul i Mervin odzyskali pełną sprawność w rękach? I że obaj z wdzięcznością za ten cud, pracują wytrwale przy budowie kaplicy? Bóg po raz drugi podarował im ręce i dlatego tymi rękami wznoszą Jego dom.

Na misjach spełniło się jeszcze jedno z moich dziecięcych marzeń. Gdy ktoś pytał mnie, kim zostanę, był taki czas, że odpowiadałam: fotografem Jana Pawła II. Myślę, że to pragnienie zrodziło się pod wpływem jakiegoś pięknie wydanego albumu Adama Bujaka. Już w Afryce, na jakimś spotkaniu, opowiedziałam o tym



dziecięcym marzeniu i ktoś musiał zapamiętać moją opowieść. Gdy do RŚA przybył papież Franciszek, dostałam akredytację jako fotograf. A to, że jestem misjonarką, dodatkowo mi pomogło: jeśli podczas spotkań misjonarze mieli dogodniejsze miejsca niż dziennikarze, korzystałam z wejściówki misjonarskiej. Taki uśmiech Pana Boga. Uważajcie o czym marzycie, bo może się spełnić, czasem z maleńkimi poprawkami.

Ale misje to nie tylko tubylcy. Gdyby nie wspólnota, którą tworzą misjonarze mieszkający na jednej placówce, żadne dzieło by nie powstało. Misjonarze bardzo się różnią między sobą pod względem charakterów, temperamentów, perspektywy patrzenia na świat. A jednak coś ich wszystkich łączy. To miłość i pragnienie, by choć jedno serce dzięki ich pracy zapalało miłością do Boga.

Każdemu ze spotkanych misjonarzy jestem ogromnie wdzięczna za wspólnie spędzony dzień, przejechany kilometr, wypowiedziane i przemilczane słowo, wspólną modlitwę, posługę sakramentalną, przywiezioną od rodziców przesyłkę, zjedzony maniok, podany lek na malarię czy choćby obejrzaną komedię, by odreagować stres związany z kolejną wizytą rebeliantów.

Misyjna droga to też ci wszyscy, którzy wspierają nas swoimi modlitwami, dobrym słowem, ciepłą myślą, swoim cierpieniem ofiarowanym w intencji misji i misjonarzy i każdym dobrem materialnym, którym się dzielą. Proszę Was o modlitwę, bym nadal umiała tak służyć nauczycielom, dzieciom i ich rodzicom, by wzrastali w mądrości i łasce.

Z serdecznym misyjnym pozdrowieniem

Gosia Kiedrowska



Rolnictwo w Afryce

wspomina br. Jerzy Steliga OFM Cap

Każdy człowiek na świecie musi codziennie coś zjeść, aby mógł żyć. Nic odkrywczego, tak to już jest w naturze ludzkiej. Już od Adama i Ewy człowiek codziennie musi się trudzić w pocie czoła, aby zdobyć pożywienie (por. Rdz 3,17-19). Zdobywanie pożywienia przez człowieka uwarunkowane jest tym w jakim regionie geograficznym żyje i jaki panuje tam klimat. Z zasady łatwiej zdobyć pożywienie w klimacie ciepłym niż zimnym. Popularnie mówi się, że tam gdzie jest ciepło i wilgotno wszystko samo rośnie. Idąc tym tokiem myślenia w krajach Afryki Środkowej nie powinno brakować pożywienia. Jednak, jak wiemy, jest inaczej. Dlaczego? Gdybyśmy umieli odpowiedzieć na to pytanie, to na pewno w tych krajach już dawno nie byłoby głodu i niedożywienia. Jeśli specjaliści w dziedzinie rolnictwa i ekonomii do tej pory nie rozwiązali tego problemu, tym bardziej ja do tego nie pretenduję. Jedynie pragnę przedstawić w zarysie trudności i uwarunkowania, w których przychodzi współczesnemu Afrykańczykowi zdobywanie pożywienia. Jedno jest pewne. Nie wszystko zależy od natury, lecz w dużej mierze od człowieka, który otrzymał od Boga ziemię w używanie i możliwość korzystania z jej owoców (por. Rdz 1,28-29).

Rolnictwo w środkowej części Afryki jest bardzo prymitywne. Jeszcze nie tak dawno, kilkadziesiąt lat temu, zdobywanie pożywienia ograniczało się do zbieractwa owoców natury, czyli owoców, jadalnych roślin, owadów, grzybów oraz myślistwa i rybołówstwa. Występowały jedynie gdzieś w buszu niewielkie poletka manioku. Aż



trudno sobie wyobrazić, że na tym samym kontynencie już wiele wieków przed Chrystusem uprawiano zboże i magazynowano je w spichlerzach, o czym dowiadujemy się choćby z historii życia Józefa Egipskiego.

Jeśli mówimy o polu w naszym rozumieniu tego słowa, to mamy na myśli dużą, gładką powierzchnię ziemi przeznaczoną pod uprawę. Dla Afrykańczyka tej części kontynentu nie jest to takie jednoznaczne. Pole to część ziemi wydarta naturze pod uprawę roślin, na której mogą znajdować się gałęzie lub pnie wykarczowanych drzew. Przygotowanie dziewiczego skrawka buszu pod uprawę trwa ponad rok. Najpierw podkłada się ogień wokół drzew, aby uschły. W następnym roku w porze suchej podpala się te drzewa. Pnie i grube gałęzie spala się na miejscu, a drobne, które można unieść na głowie zabiera się do wioski na opał do kuchni. Zawsze serce mnie bolało na widok marnującego się w ten sposób drewna. Niestety bez specjalistycznego sprzętu nic nie można było zrobić, a siekiera w rękę to zbyt mało na tak potężne i twarde drzewa. Na takich polach można pracować jedynie motyką, gdyż wystające pnie nie pozwalają na użycie pługa. Afrykańczycy przygotowują pola z dala od wioski do których prowadzą wąskie ścieżki dla pieszych. To oddalenie od terenu zamieszkałego podyktowane jest ochroną pól przed zwierzętami domowymi, które luźno, bez żadnych zagród, spacerują sobie po wiosce.



Rolnicy wolą iść każdego dnia kilka kilometrów na pola niż tworzyć zagrody dla swoich zwierząt. Zagroda zmuszałaby ich do codziennego żywienia zwierząt, a bez niej zwierzęta zdobywają sobie pokarm same. Zresztą w naturze i zwyczajach afrykańskich źle jest widziane odgradzanie swojej posesji od innych. To rodziłoby podejrzliwość, że coś się ukrywa przed sąsiadem. W okresie intensywnych prac polowych, ze względu na wspomniane odległości, wielu ludzi pozostaje w tygodniu na noc na polach. Budują sobie tam szałas na wypadek deszczu. Powracają do wioski zazwyczaj na niedzielną Mszę świętą i na dzień targowy. Można powiedzieć, że w tej części Afryki każdy ma swoje pole, niezależnie czy ma pracę zarobkową czy nie.

Urzędnicy państwowi, pracownicy żyjący z pensji oraz ci, którzy mają pieniądze z handlu, do prac polowych zatrudniają za drobną opłatą pracowników sezonowych. Nauczyciele w szkołach państwowych



wykorzystują do tych prac uczniów w ramach zajęć szkolnych, choć nie jest to zgodne z prawem. Usprawiedliwiają swoje postępowanie tym, że są słabo opłacani przez rząd, a na wypłatę trzeba czasami czekać po kilka miesięcy. W szkołach prywatnych, katolickich pilnuje się, by nauczyciele nie wykorzystywali dzieci do prac polowych. Trzeba im wiele razy tłumaczyć, że za swoją pracę otrzymują co miesiąc zapłatę, więc są w stanie zatrudnić pracowników sezonowych. Nie zawsze chcą się zgodzić z taką argumentacją. W rodzinach panuje zwyczaj, że żona oddzielnie od męża pracuje na swoim polu z dziećmi i czasami ze swoimi siostrami. Mąż natomiast sam lub ze swoimi braćmi uprawia pole. Powoli ta mentalność zmienia się i spotyka się małżonków pracujących na jednym polu, jednak raz u żony, innym razem u męża. Przychody ze sprzedaży produktów rolnych idą do dwóch różnych kieszeni ponieważ mężczyzna nie może być zależny od kobiety.

Brak kultury rolnej powoduje, że uprawa ziemi jest mało wydajna. Nie ma nawozów sztucznych, ani też naturalnych, chyba, że przez jakieś pole przeszło stado krów. Zazwyczaj po trzech, czterech latach daje się ziemi odpocząć na rok. Podstawowe uprawy w tym regionie to maniok, sorgo, orzeszki ziemne, fasola, sezam, kukurydza; z warzyw bulwiastych: iniam, taro, słodki ziemniak; z warzyw liściastych: gombo, weke, butu. Podaję te nazwy w języku sango, gdyż nie mam pojęcia czy istnieją ich odpowiedniki w języku polskim. Maniok jest rośliną wieloletnią krzewiastą, którą łatwo się uprawia.

Wystarczy krótkie patyki około czterdziestocentymetrowe powbijają rzadko, ukosem do ziemi. Przyjmują się one podobnie jak u nas wierzbka czy wiklina. W pierwszym roku uprawy, pośród tych patyków, sadi się orzeszki ziemne lub fasolę i w ten sposób wykorzystuje efektywnie ziemię. Maniok wydaje pierwsze bulwy korzeniowe po dwóch latach. W północnej części Republiki Środkowoafrykańskiej i w południowym Czadzie, gdzie zalesienie jest mniejsze i teren przechodzi w sawannę, pola są o wiele większe i trudno je obrobić motyką. Do orki używa się pary wołów. Ten kto posiada woły jest bogatym gospodarzem porównywalnym do chłopca posiadającego konia po II wojnie światowej w Polsce. Woły nie służą tylko do prac polowych, ale przede wszystkim do transportu. W tamtych warunkach klimatycznych zdecydowanie wygrywają z końmi, które są słabsze i mniej odporne na choroby. Utrzymanie woła tak naprawdę niewiele kosztuje: trawa, woda i to wszystko. Trochę pieniędzy potrzeba na szczepionki i lekarstwa w przypadku choroby zwierzęcia.

W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku kapucyni włoscy pragnęli uczyć tubylców kultury uprawy ziemi. Utworzyli dwa duże centra rolnicze. Jedno przy niższym seminarium w Yole, a drugie na północy kraju w Ngoundaye. Centrum rolnicze w Yole posiadało chlewnię,





stado bydła ok. 60- 80 sztuk, kilka stawów rybnych i fermę kurzą. Ziemi było ok. 200 hektarów. Podobny areal był w Ngaoundaye, ale tam nastawiono się bardziej na uprawy nowych na tym terenie roślin: ryżu i soi. Te centra rolnicze stworzono z myślą o edukacji rolniczej. W seminarium młodzi chłopcy po południu mieli zajęcia praktyczne na polach i na fermie. W Ngaoundaye istniała kilkumiesięczna szkoła formacji chrześcijańskiej dla katechistów. Przebywali oni tam z całymi rodzinami. Popołudniami po zajęciach w szkole pracowali w polu. Koniec szkoły zbiegał się ze zbiorami więc do wiosek nie wracali z pustymi rękami. Każdy miał kilka worków ryżu i soi. Niestety po czterdziestu latach doświadczeń trzeba ze smutkiem przyznać, że te próby wprowadzenia nowych form rolniczych nie przyjęły się. Ferma przy Seminarium pozostała, a w Ngaoundaye istnieje tylko szkółka drzewek owocowych. Traktory, maszyny rolnicze dla Afrykańczyków tego regionu to zbyt nowoczesne narzędzia wymagające właściwego używania, napraw i nade wszystko paliwa, a to wiadomo wszystko kosztuje. Tamtejsi rolnicy jeszcze nie są w stanie poprowadzić tak swojej ekonomii, aby nie przejść wszystkie-

go co zarobią ze sprzedaży płodów rolnych.

Brat Franciszek Roncallo, Włoch, z uporem maniaka od ponad 40-tu lat daje tubylcom przykład solidnej pracy rolnej. Chyba największym jego osiągnięciem jest przekonanie tubylców do sadzenia drzewek owocowych, które nie kosztują aż tyle pracy co uprawa pola. Trzeba je trochę podlewać i zabezpieczyć przed kozami. Wielu tubylców ma piękne sady grejfrutów, pomarańczy, mandarynek, avocado, szczepionych mango-ców i innych egzotycznych drzew, nie tylko na własny użytek, ale i na sprzedaż. W ostatnich dziesięciu latach Caritas Kościoła katolickiego mocno zaangażował się w nowe formy kształcenia ludności w dziedzinie rolnictwa. Przeprowadza się wiele



sesji formacyjnych, organizuje ludzi w kolektywy pracy i pomaga w zakupie sprzętu rolniczego, ręcznego oraz zakupie wołów. Przy Caritasie parafialnym powstają magazyny, gdzie rolnicy mogą przechowywać produkty rolne. Jednym z ważniejszych urządzeń na wyposażeniu kolektywy jest maszyna do łuskania ryżu. Dzięki niej można sprzedać gotowy produkt. Podczas różnych spotkań formacyjnych rolnicy łatwo zniechęcają się do wspólnej pracy i narzekają, że są biedni i pokrzywdzeni przez los. Na te żale animatorzy odpowiadają im mniej więcej w ten sposób: „Wy mówicie, że jesteście biedni, a my wam mówimy, że jesteście bogaci. Macie bowiem pod dostatkiem słońca, ziemi i wody w porze deszczowej. Czego wam więcej potrzeba do życia?”. Mam nadzieję, że formacja rolnicza prowadzona przez Caritas i przez inne organizacje pomoże w rozwoju rolnictwa i tym samym wpłynie na polepszenie życia tamtejszej ludności.



Orędzie papieża Franciszka *na światowy Dzień Misyjny 2018 r.*

Wraz z młodymi nieśmy wszystkim Ewangelię

Drodzy młodzi, pragnę zastanowić się wraz z wami nad misją, którą powierzył nam Jezus. Zwracając się do was, zamierzam zwrócić się do wszystkich chrześcijan, którzy przeżywają w Kościele przygodę swego życia jako dzieci Boże. Tym, co pobudza mnie, by nawiązując dialog z wami mówić do wszystkich, jest pewność, że wiara chrześcijańska pozostaje zawsze młoda, jeśli otwiera się na misję, którą przekazuje nam Chrystus. (...)

Życie jest misją

Każdy mężczyzna i każda kobieta jest misją i to jest powodem, dla którego żyje na ziemi. Być pociągniętym i być posyłanym to dwa poruszenia, które nasze serce - szczególnie, gdy jest młode wiekiem - odczuwa jako wewnętrzne siły miłości, obiecujące przyszłość i popychające nasze istnienie naprzód. Nikt tak, jak młodzi, nie odczuwa, jak bardzo życie wdziera się i pociąga. Wielkim wyzwaniem jest przeżywanie z radością swej odpowiedzialności za świat. Dobrze znam blaski i cienie bycia młodym, a jeśli myślę o mojej młodości i mojej rodzinie, to przypominam sobie siłę nadziei na lepszą przyszłość. Fakt, że jesteśmy na tym świecie nie wskutek naszej decyzji, pozwala nam domyślać się, że istnieje inicjatywa, która nas uprzedza i sprawia, że istniejemy. (...)

Głosimy wam Jezusa Chrystusa

Kościół głosząc to, co darmo otrzymał (por. Mt 10, 8; Dz 3, 6), może dzielić się z wami, młodymi, drogą i prawdą, które prowadzą do sensu życia na tej ziemi. Jezus Chrystus, który dla nas umarł i zmartwychwstał, oddaje się naszej wolności i pobudza ją do poszukiwania, odkrywania i głoszenia tego prawdziwego i pełnego sensu. Drodzy młodzi, nie lękajcie się Chrystusa i Jego Kościoła! W nich jest skarb, który napełnia życie radością. Mówię to wam z doświadczenia: dzięki wierze znalazłem fundament moich marzeń i siłę, by je zrealizować. Widziałem wiele cierpień, wiele ubóstwa oszczędzającego twarze wielu braci i sióstr. A jednak dla tych, którzy są z Jezusem, zło jest wyzwaniem, aby kochać coraz bardziej. Wielu mężczyzn i wiele kobiet, wielu ludzi młodych w imię Ewangelii wielodusznie poświęcało się, czasami aż do męczeństwa, służbie swoim braciom. (...) Za przykładem świętych, którzy otwierają nas na szerokie perspektywy Boga, zachęcam was do stawiania sobie w każdych okolicznościach pytania: „Co Chrystus zrobiłby na moim miejscu?”

Przekazywać wiarę aż po krańce ziemi

Również wy, ludzie młodzi, przez chrzest jesteście żywymi członkami Kościoła i wspólnie mamy misję nie-

sienia Ewangelii wszystkim. Wchodźcie w życie. Wzrastanie w łasce wiary przekazywanej nam przez sakramenty Kościoła włącza nas w nurt pokoleń świadków, gdzie mądrość tych, którzy mają doświadczenie, staje się świadectwem i zachętą dla tych, którzy otwierają się na przyszłość. A nowość młodych staje się z kolei wsparciem i nadzieją dla osób będących blisko celu swej podróży. Dzięki współlścienniu różnych grup wiekowych, Kościół w swojej misji buduje mosty międzypokoleniowe, poprzez które wiara w Boga i miłość bliźniego stają się czynnikami głębszej jedności.

(...) Najodleglesze krańce ziemi są dla was dzisiaj, drodzy młodzi bardzo aktualne i zawsze łatwe do „nawigacji”. Świat cyfrowy, sieci społecznościowe, które nas przenikają i osaczają, zacierają granice, niwelują skrajności i odległości, zmniejszają różnice. Wszystko wydaje się w zasięgu ręki, wszystko tak bliskie i bezpośrednie. A jednak bez daru, jakim jest zaangażowanie naszego życia, możemy mieć mnóstwo kontaktów, ale nigdy nie będziemy zanurzeni w prawdziwej komunii życia. Misja aż po najdalsze krańce ziemi wymaga daru z siebie samego, w powołaniu danym nam przez Tego, który nas umieścił na tej ziemi (por. Łk 9, 23-25). Śmiałybym powiedzieć, że dla człowieka młodego, który chce podążać za Chrystusem, niezbędne jest poszukiwanie i akceptacja własnego powołania.

Świadczyć o miłości

Dziękuję wszystkim strukturom kościelnym, które pozwalają wam osobiście spotkać Chrystusa żyjącego w swoim Kościele: parafiom, stowarzyszeniom, ruchom, wspólnotom zakonnym, różnym przejawom posługi misyjnej. Wielu młodych znalazło w wolontariacie misyjnym formę służenia „maluczkim” (por. Mt 25, 40), promując ludzką godność i świadcząc o radości kochania i bycia chrześcijanami. (...)

Drodzy młodzi, tegoroczny październik - miesiąc misyjny, podczas którego odbędzie się poświęcony wam Synod - będzie kolejną okazją, aby stać się uczniami-misjonarzami, coraz bardziej rozmiłowanymi w Jezusie i Jego misji, aż po najdalsze krańce ziemi. Maryję Królową Apostołów, świętych Franciszka Ksawerego i Teresę od Dzieciątka Jezus, błogosławionego Pawła Manne, proszę o wstawiennictwo dla nas wszystkich oraz by nam zawsze towarzyszyli.

Przesłanie wygłoszone do młodych, które Papież Franciszek wystosował na Światowy Dzień Misyjny z okazji Niedzieli Zesłania Ducha Świętego. 20.05.2018 (KAI/Vaticannews)



Dzień z życia młodego misjonarza

pisze br. Maciej Jabłoński OFM Cap

Mówi się, że początki nie są łatwe. W moim odczuciu nie dotyczy to pracy misyjnej, no może poza koniecznością przyswojenia lokalnego języka sango, którym włada większość mieszkańców Republiki Środkowoafrykańskiej. W momencie pisania tego artykułu upływa pierwszy miesiąc mojej pracy misyjnej, stąd zapewne nie dziwi nikogo mój entuzjazm i zachwyty, związany z nową posługą, do której zostałem posłany. Ktoś ostatnio napisał do mnie: „Bracie, jesteś taki młody, wszystko, co robisz, przeżywasz z taką pasją... Można odnieść wrażenie, że przeżywasz jakąś niesamowitą przygodę, przygodę, w ramach której pomagasz tak wielu osobom”. Pozwólcie zatem, że podzielę się z Wami jednym dniem z tej „przygody życia”. Przenieśmy się w czasie do 15 sierpnia 2018 roku – Uroczystość Wniebowzięcia NMP.

Po pobudce, toalecie i szybkiej porannej kawie, o godzinie 6:30 melduję się w kaplicy na porannej modlitwie – Jutrzni i rozważaniu Ewangelii. Następnie śniadanie i już o 7:30 wyruszam do Pakale, niewielkiej miejscowości położonej ok. 10 km od Bocaranga, aby spotkać się z miejscową wspólnotą chrześcijan i sprawować Eucharystię. Mimo że dystans nie jest wielki, pokonanie go zajmuje trochę czasu, gdyż droga – bardziej przypominająca szlak górski – pozostawia wiele do życzenia. Mamy dodatkowo porę deszczową, co sprawia, że trzeba liczyć się z wszechobecnym błotem, zerwanymi mostami oraz kałużami i rozlewiskami rzek z wodą sięgającą metra głębokości. Jak już dojedzie się do wioski, podstawą jest po prostu bycie z tamtejszymi ludźmi, dzielenie ich radości i problemów. Nie trzeba wiele, już sama obecność staje się świadectwem, że ktoś o nich pamięta. Po dotarciu na miejsce spełniłem standardową posługę misyjną: najpierw Sakrament Pojednania, do którego przystąpiło ok. 50 osób, następnie Msza święta. Po Eucharystii, ku ucieście dzieciaków, przekazałem obiecany prezent,

mianowicie piłkę do nogi. Następnie miejscowy katechista zaprosił mnie na posiłek: „bull”, czyli kluskę z manio-ku, którą je się rękoma, i pikantny sos na bazie mięsa z koguta. Przy posiłku, jak to zwykle bywa, rozmawialiśmy o bolączkach miejscowej wspólnoty, takich jak brak pożywienia czy konieczność pomocy pogorzelcom (bo komuś spaliła się ostatnio chata). Przed wyjazdem – jeszcze jedna lista potrzeb: tego coś boli, ktoś prosi o podwiezienie do miasta, ktoś chce przetransportować dwa worki kukurydzy.

Okolo południa dotarłem z powrotem na misję. Myję dokładnie ręce, wszak każdy chciał się ze mną witać i zegnać, obdarowując mnie przy okazji wszystkim tym, czego ostatnio dotykał. Następnie modlitwy, obiad i „święty” czas sjeisty. Starsi bracia misjonarze mówią: nie odpoczywasz – chorujesz (chodzi tu głównie o malarię), a jak chorujesz, jesteś uziemiony i nikomu nie pomożesz.

Po południowej przerwie, około piętnastej postanowiłem wybrać się do miejscowego szpitala na pediatrię, by zobaczyć, jak się mają maluchy. Na jakieś 20 łóżek przypada 30 pacjentów, chorych głównie na malarię wraz z towarzyszącymi jej powikłaniami, takimi jak anemia, infekcje dróg oddechowych czy zaburzenia neurologiczne. Dużą grupę stanowią również mali pacjenci cierpiący na tyfus, choroby pasożytnicze i zaburzenia odżywiania. Dzieci w RŚA raczej nie przymierają głodem, ale cierpią na niedobór białka i wyczerpanie organizmu spowodowane chorobami. Dlatego leczenie powinno być kompleksowe, obejmować wysokobiałkowe i wysokokaloryczne produkty spożywcze, a także podawanie leków przeciwmalarycznych, antybiotyków

oraz witamin i minerałów.

Tylko jak to zapewnić w szpitalu, gdzie od 3 miesięcy nie ma prądu, bo przestał działać generator, a od 2 tygodni z nieznanых powodów nie ma wody w kranach? Zabiegi i porody odbywają się przy świetle latarek. Leczy

się tym, co jest, i tym, za co zapłacą rodzice. Leki przeciwmalaryczne są często sponsorowane przez organizacje międzynarodowe, ale z całą resztą bywa różnie. Dzieci cierpiące na niewydolność oddechu dostają lek i próbują przetrwać, bo nie ma kondensatora do tlenu. Dla wcześniaków jest prowizoryczny inkubator – stara walizka, folia z bąbelkami, termofo i koce (w XXI wieku!). Strzykawka jest używana przez cały dzień, dobrze choć, że jedna na pacjenta. Wczoraj umarł sześciolatek z nowotworem w obrębie jamy ustnej. W Polsce dałoby się go zoperować i być może leczyć, ale tu nie ma najmniejszych możliwości. Dostawał leki przeciwbólowe, umarł szybko, a ja, choć to może się komuś wydać brutalne, byłem wdzięczny Panu Bogu, że chłopczyk długo się nie męczył.

Po wizycie w szpitalu wracam na misję, po drodze, dla odreagowania, zaczepiając i wygłupiając się z miejscowymi dzieciakami, które wykrzykują „Mundziu” (biały) oraz Pere Matthias. Wieczorem w klasztorze wspólnie z braćmi odmawiamy różaniec, rozważanie Ewangelii, nieszpory i kompletę. Następnie zjadamy kolację, czyli to, co zostało z obiadu. Później karmię naszą zwierzynę



(3 koty i 2 psy), chwilę poświęcam na rozmowę z braćmi i powoli trzeba się zabierać do siebie. O 21:15 pod osłoną moskitiery, uczyniwszy znak krzyża, zamykam oczy i oddaję się w objęcia snu, wszak jutro o 5:00 rozpoczne nowy dzień.

W związku z wejściem w życie nowych przepisów o ochronie danych osobowych, jeżeli nie wyrażają Państwo zgody na otrzymywanie kolejnych numerów niniejszego biuletynu, proszę taką informację przesłać na adres Sekretariatu Misyjnego, lub mailowo na adres: misje@kapucyni.pl

Zdecyduj się i pomóż!

**SEKRETARIAT MISYJNY
Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów
– Prowincji Krakowskiej**

opiekuje się misjonarzami pracującymi
na kontynencie afrykańskim
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

**Wspieraj misję swoją modlitwą,
pracą i ofiarą.**

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom
potrzebującym w krajach afrykańskich,
w których pracują misjonarze z Zakonu
Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz,
Nakład: 4000 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65





BUDUJEMY KAPLICĘ

POMÓDL SIĘ ZA MISJONARZY I ZA LUDZI, WŚRÓD
KTÓRYCH ŻYJĄ. WESPRZYJ ICH DZIAŁANIA.

POMÓŻ MISJOM W AFRYCE!